

KoNiKi!

z Szumińskich Łąk

August



Literacki
EGMONT

Uwielbiam przejażdżki z Klarą. I poranne i wieczorne. W ogóle wszystkie. Dzisiaj kłusujemy sobie w stronę lasu i mam nadzieję, że uda nam się do niego dotrzeć, zanim całkiem zapadnie zmrok. Chętnie skubnąłbym sobie odrobinę srebrzysto zielonego mchu, którego nie brakuje w pobliżu szerokiej ścieżki, między brzoźami. Takie mchy przypominają mi dzieciństwo na wyspie...

Ale Klara daje mi wyraźny znak, żebym zwolnił. I to akurat w takim miejscu, gdzie czuję wyraźnie zapach tej przestraszonej Pauliny.

Dobrze ją sobie zapamiętałem. A to dlatego, że pachniałem tak samo, gdy opuszczałem Islandię i wyruszałem w nieznane. Może tak pachną wszyscy, którzy są nowi? Nawet nowe siodła i derki są trochę przestraszone, gdy opuszczają sklepy i trafiają do nas. My, konie, musimy je oswajać powoli, by miały odwagę należeć do któregoś z nas.

Może Paulina też chciałaby do kogoś należeć? Żeby wreszcie przestać się bać? Ona ma wprowadzić mamę, ale nawet ja trochę się jej obawiam... Była u nas w stajni i opowiadała najdziwniejsze rzeczy, jakie w życiu słyszałem! Powiedziała, że pod boksem Mai i Aprilka blokuje się przepływ dobrej energii chi, a wszystko z powodu żyły wodnej, która jest gdzieś głęboko pod ich kopytami. Ta żyła generuje złą energię o nazwie sha i trzeba zrobić wszystko, by się tego sha całkiem pozbyć.

Próbowałem wyobrazić sobie te całe energie. Dobra miała kształt marchewki, wyhodowanej dla mnie przez mamę Klary, a zła przypominała koński bat. Brr!!!

Mama Klary bardzo się tym wszystkim zmartwiła, zwłaszcza, gdy dowiedziała się jeszcze, że trzeba przenieść siodlarnię w miejsce paszarni, a paszarnię zamienić ze stodołą, a najlepiej by było umieścić kran z wodą w części północnej naszej stajni, a nie tam, gdzie jest obecnie.

Nie wiem, czy te wszystkie zmiany na pewno nastąpią, bo to przecież byłaby prawdziwa rewolucja w Szumińskich Łąkach. Na razie nad boksami w części zachodniej zawisły

metalowe dzwonki, na których przesiadują wróble. Słyszałem, że to ma nam zapewnić dobrobyt, czyli w moim pojęciu dużo marchewek, sianka, paszy i może w końcu wymarzonego śledzika dla mnie od czasu do czasu. A! I jeszcze zniknęły wszystkie miotły. Wylądowały teraz w schowku obok siodlarni, żeby czasem nie wymiatały ze stajni dobrej energii.

Tyle zapamiętałem z tego, co opowiadała ta przedziwna kobieta w turbanie.

Zatrzymuję się przy płocie z desek. Niektóre są połamane, a inne sterczą na wszystkie strony. Ten drewniany płot od dawna już niczego porządnie nie osłania. Czuję wyraźnie, że zapach Pauliny jest gdzieś blisko, ale jakby ponad mną. Zadzieram więc szyję i trochę zaniepokojony poruszam głową na wszystkie strony. Klara dobrze mnie rozumie i też spogląda w górę.

Paulina siedzi na jabłoni. Ma na sobie coś, co przypomina mi wielki biały worek na marchewki.

Ale eleganka! Koń by się uśmieł, więc i ja się śmieję. To chyba pomaga Klarze, bo czuję, że przez moment troszeczkę się napina i denerwuje. Ale kiedy tylko słyszy mój śmiech, także się uśmiecha.

-No, nie! Paulina! Ty znowu na drzewie?

-Straszę sobie! Wczoraj uciekłyście! To był mój pierwszy sukces!

-A jak wdrapałaś się na dach drewutni? – pyta Klara.

-Po drabinie, ale się połamała. Dlatego dzisiaj wspierałam się po gałęziach. Są bardziej trwałe! Po co przyjechałaś?

-Żeby się przekonać, że duchów nie ma!

- A ja?!!! – oburza się Paulina, a potem zaczyna się nagle śmiać.

-Zejdź do nas... – prosi Klara. – Gucio się z tobą przywita i w ogóle...

Paulina zeskakuje na dół, zwinnie jak kot. Czasem widzę jak nasze koty w Szumińskich Łąkach sprytnie zaczajają się na wróble. Mają dokładnie takie same delikatne ruchy. Ciekaw jestem na co poluje Paulina? Jej palce nie są tak lodowate jak ostatnio, a to, co wzięłam za worek na marchewki, wcale nimi nie pachnie.

-Guciu... Bardzo przypominasz mi Rokiego... - mówi Paulina i przez moment wydaje mi się, że znowu się rozpłaczę, jak wtedy, w stajni...

-Masz jego fotografię? – pyta Klara ze współczuciem.

-Poczekaj tu – prosi Paulina i biegnie w stronę domu. Wraca błyskawicznie, jakby jednym kocim susem.

-Nie mogę wpuścić cię do środka, bo mama robi generalny remont i pojechała pożyczyć pędzle od jakichś ludzi w Szuminie.

-Pewnie od męża naszej sklepowej. On maluje mieszkania i domy – mówi Klara.

-Może. I mówiła też, że wstąpi na chwilę do jakiegoś Koła, ale nie zapamiętałam. Pewnie za chwilę wróci. Będzie zła, jak zobaczy nas w tym bałaganie – tłumaczy się Paulina.

-Och! Na spotkanie Koła Gospodyń Szumina? To pewnie nieprędko ją tutaj zobaczymy...

Paulina rzuca Klarze nieufne spojrzenie. – Nie znasz mojej mamy... Naprawdę nie wiadomo, czego można się po niej spodziewać... Lepiej zostanmy na zewnątrz.

Klara wzrusza ramionami. Jej to wcale nie przeszkadza. Mnie też nie, ponieważ rosną szanse na moje ulubione srebrzyste mchy. Mam na nie wielką ochotę i im krócej tu zostaniemy, tym lepiej.

-Śliczny! Siwej maści!!! – zachwyca się Klara, oglądając zdjęcie.

Wyciągam szyję, żeby łypnąć na nie jednym okiem, ale fotografia jest taka mała... Na szczęście jestem kucykiem obdarzonym wyobraźnią i umiem zobaczyć tego całego Rokiego, dokładnie go nie widząc. Z tego, co słyszę jest kucykiem islandzkim, tak jak ja. Różnimy się podobno jedynie maścią. Ja jestem kasztanowaty, z konopiąstą grzywą, a on siwy.

Mówię podobno, bo w ogóle nie wierzę, że to jedyna różnica. Nie ma dwóch takich samych koni, choć ludzie są przekonani, że to powiedzenie tylko ich dotyczy. Nieprawda!

Przysłuchuję się opowieści Pauliny i jestem pewien, że ja zachowałbym się inaczej. Gdyby mnie sprzedano, po prostu uciekłbym z tego nowego miejsca i wrócił do Klary. Biegłbym tak długo, aż bym ją odnalazł. My, konie od zawsze umiemy odnaleźć właściwą drogę. Dzięki zmysłowi węchu tworzymy zapachową mapę okolicy, zapamiętujemy także kolejność zakrętów, dźwięki oraz układ mijanych budynków. W nieznanym terenie zaś prowadzi nas niezawodny instynkt, bo świetnie wyczuwamy zmiany pola magnetycznego Ziemi i dzięki tej umiejętności wiemy, którądy biec do celu.

My, kucyki z Islandii, przyzwyczajone do trudnego życia w naszej ojczyźnie, nigdy nie poddajemy się tak łatwo. Szkoda, że ten cały Roki o tym zapomniał... Bo Paulina bardzo za nim tęskni... Czuję to...

*

Biedna, biedna Paulina. W ogóle nie mogłam zasnąć po tym, co mi opowiedziała... Gdybym ja musiała sprzedać Gucia, chyba umarłabym z rozpacz! Jak tylko to sobie wyobrażam, od razu przechodzą mnie dreszcze!

Mama też miała niewesołą minę, kiedy wróciła ze swojego spotkania.

-Nie żartujcie sobie czasem z Pauliny i Arietty – poprosiła jakimś nieswoim, zgaszonym głosem.

-Nawet jak jedna siedzi na czubku drzewa, a druga opowiada bzdety o szkodliwej energii? – zapytała Nina.

-Nawet wtedy – powiedziała mama. – Ich życie tak gwałtownie się zmieniło, że po prostu czasem obie muszą zachowywać się dziwnie. To jest cena, jaką się płaci za wielki stres.

-A co też im się przytrafiło? – zapytała ironicznie moja siostra, a mama zgromiła ją wzrokiem.

-Straciły wszystko... Ariettę zwolnili z pracy z dnia na dzień... Żeby spłacić kredyt musiały sprzedać mieszkanie...

-I Rokiego...- wtrąciłam ze smutkiem.

-I Rokiego...- powtórzyła mama.

-A chałupa po babci Nadzi? – zapytała Nina.

-Należy do przyjaciółki Arietty. Pozwoliła im tu zostać tak długo, jak będą chciały – odparła mama z westchnieniem.

-No to nie fajnie – przyznała Nina i skończyła ze swoimi ironicznymi uwagami.

Dzisiaj jest poniedziałek – pierwszy normalny dzień szkoły. Z książkami, zeszytami i piórnikami. Paulina nie ma w ogóle książek, a zeszytów wzięła za mało. Pożyczamy jej z Hanią jeden komplet podręczników i po zeszycie, bo akurat mamy zapasowe.

Na przerwie Krzyś woła – Ej! Paulina, co się wspina!

-A bo co? – pyta zaczepnie nowa koleżanka.

-Zostaw ją w spokoju – proszę grzecznie i Krzyś się natychmiast zamyka.

Pani Basia prowadzi z nami większość lekcji i na jednej mamy za zadanie narysować widokówkę z wakacji, a na odwrocie napisać kilka słów. Taki krótki liścik albo życzenia.

Ja rysuję morze. W lipcu babcia Lidzia zabrała mnie i Ninę na dwa tygodnie nad Bałtyk. Mieszkaliśmy na kempingu i moja siostra cały czas na coś narzekała, ale mnie bardzo się tam podobało. Przysięgam sobie, że kiedyś wrócę nad morze z Guciem i będziemy razem galopować po plaży, ścigając się z morskimi falami.

Rysuję więc wzburzone morze i żółciutki piasek i mały statek w oddali, który trochę mi nie wychodzi, bo bardziej przypomina łupinę orzecha.

Kiedy przychodzi moja kolej odczytuję swój tekst z pocztówki -

„Pozdrowienia znad pięknego morza. Deszcz właśnie przestał padać i znowu chodzimy na plażę. Zebrałam mnóstwo muszelek i kilka bursztynów. Codziennie buduję nowy zamek z piasku. Do zobaczenia w Szuminie! Klara

Hania rysuje wesołe miasteczko, do którego zabrała ją ciocia. Hania była u niej kilka dni. Zwiedzała Kraków, karmiła gołębie na Rynku, odwiedziła ogród zoologiczny i nawet kopalnię soli w Wieliczce. Ale najbardziej podobało jej się właśnie wesołe miasteczko. Na rysunku pełne jest fruujących obłoczków z waty cukrowej. A w lewym dolnym rogu prostokątnej kartki, siedzi sobie malutki, zielony Smok Wawelski i zionie ogniem.

„Jestem w Krakowie, gdzie pełno gołębi i huśtawek. Spotkałam Wawelskiego Smoka i razem jedliśmy cukrową watę. Wszystko ci opowiem, jak wrócę do domu. Pozdrowienia! Hania!”

Strasznie śmieszne są kartki chłopców. U Antka to dwa stogi siana, między którymi latają ostro zakończone strzały. – „Pozdrowienia z pola bitwy w Szuminie” – czyta Antek, a my pękamy ze śmiechu. Krzyś narysował uzbrojone po zęby myszy, które mierzą do kota, siedzącego na płocie.

„Pozdrowienia z najspokojniejszych wakacji w kosmosie” – napisał Krzyś.

Tak właśnie bawią się moi koledzy, którzy spędzają całe lato w domu!

Paulina czyta ostatnia. Na jej pocztówce widać czarne słońce, czarne chmury i czarną plamę, która trochę przypomina dom. Wokół plamy tłoczą się drzewa w tym samym kolorze, tworząc złowieszczą plataninę gałęzi.

„Kochany Roki! – napisała Paulina. – Od kiedy ciebie nie ma, moje życie jest czarne. I całe wakacje też. Mieszkamy teraz w czymś, co nie nadawałoby się nawet na stodołę albo paszarnię. Arietta powoli zamienia się w kompletną dziwaczkę. Wołałam, kiedy nosiła kostiumy, szpilki i drogie torebki, chociaż wtedy narzekałam jak nie wiem co. Dobrze to pamiętasz, prawda? Teraz byś jej nie poznał. Ma na głowie turban! I do tego dłużej

spódnice o stu halkach. Ciągłe medytuje, by odzyskać wewnętrzną równowagę. O mnie nie dba. Nieważne.

Myślę tylko o tym, jak cię odzyskać. Pan Paweł, twój nowy właściciel obiecał, że będę mogła cię odkupić. Zbieram pieniądze do skarbonki, ale na razie mam tylko dziesięć złotych. To strasznie mało, bo my teraz jesteśmy biedne, ale nie martw się. Będę oszczędzać. Nikogo tak nie kocham, jak ciebie. Twoja Paulina”.

Kiedy nasza nowa koleżanka milknie, zapada grobowa cisza. Słysząc tylko brzęczenie muchy, a po moim policzku wolniutko spływają dwie łzy. Paulina siedzi ze spuszczoną głową i wygląda tak żałośnie, że przechyliłam się do sąsiedniego rzędu i głaszczę ją po ramieniu. W pierwszym odruchu chce strząsnąć moją rękę, ale w końcu tego nie robi. Może spostrzega łzy? A może przypomina sobie Gucia i myśli, że tak naprawdę to on chce ją pocieszyć?

Na pewno by to zrobił. On przecież wszystko rozumie i ma bardzo dobre serce!

Nasza pani Basia zastępuje nieobecnego Gucia i przytula Paulinę, która zupełnie nie stawia oporu. W niczym nie przypomina teraz osoby, która umie wdrapać się na czubek drzewa albo udawać ducha na dachu drewnutni. Jakby trochę się zmniejszyła i na jej twarzy maluje się smutek pomieszany z bezradnością. To zupełnie nie pasuje do zakończenia przeczytanego przed chwilą listu...

-Chcesz opowiedzieć nam więcej o Rokim? – pyta pani, a Paulina przecząco kręci głową. W jej oczach znowu pojawiają się znajome isierki, które mogą zwiastować gwałtowną zmianę nastroju. Zupełnie jak nagły wiatr przed nadciągnięciem burzy albo dalekie błyski na niebie.

Na szczęście w tej właśnie chwili rozlega się pianie naszego szkolnego dzwonka, a po przerwie nie mamy już lekcji z wychowawczynią, tylko warsztaty fotograficzne z jakąś rudowłosą panią z warszawskiej gazety, a konkretnie z jej redakcji. Ta pani ma na imię Ania, zajmuje się fotografią zawodowo i opowiada nam o tym bardzo ciekawie. Dzisiaj nie mamy jeszcze aparatów, ale ona przyniosła swój. Na tych zajęciach układamy kompozycje pod

tytułem „Pożegnanie lata”. Oczywiście robimy to na zewnątrz, bo tam można znaleźć mnóstwo materiałów.

Pani bardzo chwali Paulinę, która z kamyków, patyków i listków tworzy smutny obrazek.

-To będzie nostalgiczne zdjęcie! Spróbuj znaleźć najlepsze ujęcie – prosi, podając jej aparat.

Paulina w ogóle nie ma z nim kłopotów (w przeciwieństwie do niektórych z nas. I ujęcie też wychodzi jej świetnie.

-Brawo! – cieszy się fotografka. – Coś mi się zdaje, że ty już masz spore doświadczenie, mimo młodego wieku. Zgadłam?

-W mojej starej szkole mieliśmy dodatkowe zajęcia z fotografii – wyjaśnia Paulina niechętnie.

Po lekcjach po nową koleżankę podjeżdża mama. Zamiast turbana w kolorze brudnej kałuży, ma dziś na głowie coś zielonego i to z frędzlami, które zwisają jej nad czołem zupełnie jak wyciągnięte z rzeki wodorosty.

-Jedziemy do Majówek. Może was podwieźć kawałek? – proponuje Arietta, ale my z Hanią grzecznie dziękujemy. Na szczęście mamy rowery.

Jedziemy na nich w pełnym milczeniu, ale mogę się założyć, że każda z nas myśli o tym samym – o sprzedanym Rokim, Paulinie i całej reszcie.

-Gdybym mogła, to bym go dla niej odkupiła. W ramach dobrego uczynku dla bliźniego – mówi poważnie Hania. To chyba wpływ niedzielного kazania wygłoszonego w parafii świętej Zyty w Szuminie. Ja akurat na nim nie byłam, ale o dobrych uczynkach mam jako takie pojęcie.

-Ja też. Ale za co?

-Właśnie...

-Hania...

-Tak?

-A może zrobić taką akcję... No wiesz, taką jak co roku w grudniu, kiedy zbieramy na jakiś cel... Byłby kiermasz i zebrane pieniądze przekazalibyśmy Paulinie.

-Będzie jej głupio... Może poczuje się jak jakaś żebraczka? I znowu wejdzie na drzewo?— oświadcza Hania, a do mnie dociera, że przyjaciółka chyba ma rację. Nie można kogoś uszczęśliwiać na siłę, nawet jak się ma najlepsze intencje.

Ale cała ta sytuacja nie daje mi spokoju i przy obiedzie opowiadam o niej mamie. Opowiadam jej w ogóle wszystko, co zdarzyło się tego dnia. Mama bardzo lubi mnie słuchać, zwłaszcza, że Nina od jakiegoś czasu zupełnie nic jej nie mówi o swoim życiu. Jakby wszystko chciała trzymać w wielkiej tajemnicy. Żeby chociaż chodziło o coś naprawdę ważnego...

-Odkupić Rokiego? Mówisz, że zaproponował jej to nowy właściciel? Ciekawe... - mruczy mama z zainteresowaniem. — Muszę podpytać Ariettę, gdzie dokładnie trzymają tego kucyka.

Po obiedzie idę do stajni, pogadać z Guciem. I odrobić pracę domową, zadaną przez panią z gazety. Mamy zrobić zdjęcie ukochanej osoby, miejsca lub ukochanego przedmiotu. Tak, żeby nasza miłość była zaklęta w tej fotografii i widoczna, gdy jej się przyjrzeć głębiej. Nie wydaje mi się to wcale proste, ale próbuję i kiedy niezadowolona z efektów, pstrykam kolejne ujęcia, nagle wpadam na genialny pomysł!

Koniki z kalendarza! To jest to! Zrobimy kalendarz z mieszkańcami naszej stajni! Sprzedamy go i będziemy mieć pieniądze na Rokiego!

-Kochana ciociu Gracjo! Dziękuję za twój wspaniały konikowy plan! — powtarzam sobie w myślach i aż podskakuję z radości.

To na pewno się uda. Po prostu musi się udać. Modele czekają w stajni, pani z gazety na pewno nam pomoże, a tata Antka ma drukarnię w Majówkach! Jestem taka szczęśliwa, że aż Gucio rży na mój widok z radości.

O moim pomysle opowiadam mamie, a potem Hani.

Obydwie mają wątpliwości – bo nie wiadomo, ile trzeba na to pieniędzy, czy Paulina nie poczuje się dotknięta i najważniejsze – co dalej? Skoro Arietta i jej córka nie mają praktycznie z czego żyć, w jaki sposób utrzymają konia? To przecież kosztuje...

Zupełnie jakbym o tym sama nie wiedziała! Jestem trochę zła, że nikt nie podziela mojego entuzjazmu. Oprócz Gucia, z którym tę sprawę omówiłam od razu, jeszcze w stajni. On był zachwycony i kiwnął głową na znak, że to naprawdę świetny pomysł.

Przypominam sobie o tym, kiedy mama i Hania piętrzą przede mną kolejne problemy. I znajduję argumenty nie do przebiccia.

Po pierwsze - mama ma się dyskretnie dowiedzieć o adres tego miejsca, w którym przebywa obecnie Roki. Wtedy ja skontaktuję się z właścicielem. Tak. Wcale się tego nie boję! Dzięki temu dowiemy się, jak jest naprawdę.

Po drugie – kalendarz będzie robiła także Paulina, a może nawet głównie ona. W końcu z nas wszystkich ma największe doświadczenie w fotografowaniu. Więc pieniądze ze sprzedaży to nie będzie jakaś tam jałmużna czy zbiórka, tylko wynagrodzenie ciężkiej pracy. Nasze zdjęcia muszą być najlepsze na świecie. I mieć w sobie nieuchwytnie „coś”, o którym opowiadała nam na pierwszych zajęciach pani fotografa.

A jeśli chodzi o to, co dalej z Rokim? Proszę bardzo! Mam gotową odpowiedź! W Szumińskich Łąkach nie brakuje miejsca dla jeszcze jednego kucyka. Będzie miał gdzie mieszkać i co jeść, a Paulina się nim zaopiekuje, jak dawniej. Możemy też wymyślić jakiś sposób zarabiania dodatkowych pieniędzy. Może na dole, w spichlerzu otworzymy kawiarenkę dla gości? Czynną cały rok, tak żeby ci co przyjeżdżają na krytą ujeżdżalnię nie musieli przywozić ze sobą termosów z kawą czy herbatą. A do tego upieczemy pyszne szumińskie ciasta na szumińskich jajkach. I może nawet przy tej okazji znajdzie się jakaś praca dla Arietty? Nie mówię, że ma od razu wypiekać te swoje dziwaczne wyroby cukiernicze...

A! No i najważniejsze! Czy w naszej stajni nie mieszka czasem dwanaście konikowych miesięcy? Mieszka! I czy tworzą one dokładnie jeden rok? Jasne, że tak! No więc jest dla mnie absolutnie logiczne i zrozumiałe, że kucyk islandzki o imieniu ROK-I idealnie do naszej stajni pasuje. Jest wręcz brakującym elementem!

I na koniec dobrze by też było pomyśleć o Paulinie i o tym, co się z nią stanie, gdy będzie dalej rozpaczać po stracie kucyka. Czarna pocztówka, którą narysowała to przecież fotografia jej serca i myśli. Już zainteresowała się nią pani psycholog (i Pauliną i pocztówką). To nie jest czasem wystarczający powód? Pomóc komuś, kto jest w rozpacz, skoro są takie możliwości?

Mama milczy zdumiona, gdy kończę swój monolog.

-Klara! Powinnaś zostać sołtysem Szumina. Albo najlepiej od razu wójtem w Majówkach! – mówi z podziwem.

-Więc mi pomożesz? – pytam z nadzieją w głosie. W tej samej sekundzie przychodzi mi do głowy, że przecież na pewno i Paulina ma adres do swojego kucyka. Gdyby mamie się nie powiodło, sama to załatwię!

-Spróbuję – obiecuje mama po chwili namysłu.

Hania też zmienia zdanie, gdy wysłuchuje moich argumentów. I najważniejsze! Wieczorem udaje mi się wejść na skajpa i porozmawiać o tym wszystkim z tatą.

-Jestem z ciebie dumny, córeczko! – mówi po prostu i przesyła mi dłonią całusa. – Jutro pogadam z moimi przyjaciółmi. Tu gdzie pracuję, na pewno znajdą się chętni do pomocy. Może potrzebny wam będzie jakiś sponsor? Wiesz, jak Anglicy kochają konie... Może i tutaj wasz kalendarz znajdzie nabywców... Kto wie?

Taki właśnie jest tata! W lot mnie rozumie i kocham go jak nie wiem co!

*

Następnego dnia w szkole nie zdobywam się na odwagę, by opowiedzieć o wszystkim Paulinie. Zresztą ona od rana ma ponurą minę i nie odpowiada na żadne pytania. Nauczyciele zostawiają ją w spokoju, a na trzeciej lekcji przychodzi po nią pani psycholog. Wszyscy myślimy, że Paulina spędzi czas w jej gabinecie, ale okazuje się, że obie wychodzą na dwór i kierują się w stronę naszego jeziora. Dziwne! A może nauczyciele odkryli, że nowa potrzebuje specjalnego traktowania i więcej swobody niż my wszyscy?

„Mogę przyjechać do ciebie wieczorem?” – piszę na karteczce, kiedy Paulina wraca do klasy. Ma na głowie wianek z trawy i koniczyń, a na policzkach rumieńce. Wygląda o wiele lepiej niż wcześniej.

„Jak z Guciem, to tak!” – odpowiedź przychodzi błyskawicznie, tą samą drogą między ławkami Marceliny, Oli i Toli oraz Antka.

Nie mogę się doczekać wieczoru, zwłaszcza, że przy obiedzie mama ma dla mnie konkretne informacje. Roki jest jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, w miejscu, które nazywa się „Nad modrym ruczajem”. Dosyć dziwnie jak dla mnie, ale nieważne.

Mama dzwoniła tam i pytała o jazdy konne – tak trochę dla zmyłki, żeby w ogóle jakoś zacząć rozmowę, ale pan, z którym rozmawiała powiedział, że jazdy są chwilowo zawieszone i niewykłuczone, że ruczaj wkrótce wyschnie.

Wiem z jednej szkolnej lektury – okropnie ponurej polskiej legendy, że ruczaj to jakieś źródło wodne, albo strumyczek. Zrobiłam więc bardzo zdziwioną minę, kiedy mama powiedziała o tym wyschnięciu. No bo jaki jest związek między lekcjami jazdy konnej, a wyschniętym zbiornikiem wodnym?!

-Też w pierwszej chwili nie zrozumiałam – pocieszyła mnie mama. – Ale mój rozmówca zachichotał i wyjaśnił mi, że chodzi mu raczej o wyschnięcie ruczaju z pieniędzmi. Krótko mówiąc – mają kłopoty finansowe i na dziewięćdziesiąt dziewięć procent wkrótce zamykają interes. Wszystkie konie zamierzają sprzedać.

-O, nie! A co z Rokim?!!! – przeraziłam się nie na żarty.

-Zarezerwowałam go – oświadczyła mama najspokojniej w świecie. Zupełnie jakby robiła takie rzeczy codziennie.

-Co takiego?!!! – zawołałam.

-ZAREZERWOWAŁAM! – powtórzyła, a ja z piskiem rzuciłam jej się na szyję.

-Jesteś najkochańszą mamą na świecie! – zawołałam całując ją mocno w obydwie policzki.

-Klara, daj spokój... To przecież nic wielkiego... Nie mogłam pozwolić, żeby uprzedził mnie jakiś przypadkowy nabywca. Wpłaciłam od razu zaliczkę na konto, żeby sprawa była pewna, a teraz musimy stanąć na głowie, żeby znaleźć resztę pieniędzy.

-Możemy je od kogoś pożyczyć, a potem oddać. Jak już sprzedamy kalendarze... - mówię cicho.

-Których jeszcze nie macie – zauważa trzeźwo mama.

-Ale będziemy je mieć! – zapewniam i błyskawicznie kończę obiad. Chcę jak najszybciej pobiec do Gucia, żeby przekazać mu wielką nowinę. Właściwie to mogę już powiedzieć o tym wszystkim mieszkańcom stajni. Jest przecież więcej niż pewne, że za jakiś czas będą mieli nowego kolegę.

Zapominam tylko, że przecież dzisiaj część kucyków pracuje. Pani Marta ma jazdy z Małymi Księżniczkami. Małe Księżniczki są trzy i przyjeżdżają zawsze w towarzystwie blondwłosej Dużej Księżniczki, która jest ich mamą i bardzo boi się koni. Małe, ubrane na różowo od stóp do głów – w ciemno różowe toczki, jasnoróżowe bluzy i spodnie, na brudno różowych sztylpach skończywszy - nie boją się wcale i za każdym razem próbują ściągać niektóre elementy swoich różowych strojów.

-Nie, nie, nie! Tego nie zdejmuj Alicjo! – woła z przerażeniem Duża Księżniczka, gdy przechodzę obok. Alicja próbuje odpiąć niewygodny gorset, który ma ją chronić przed upadkiem. W tym czasie jej siostra, kombinuje coś przy siodle.

-Nie, nie, nie, Patrycjjo! – protestuje matka. –Nie możesz jeździć bez strzemion i siodła!

-Ale właściwie czemu nie? – pytam i dodaję szybko „dzień dobry”, o którym zapomniałam.

-Jeżdżenie na oklep ma swoje plusy – przyłącza się do mnie instruktorka. – Szybciej złapią równowagę i poczują konia – dodaje.

-Absolutnie nie! To całkowicie niebezpieczne! – woła Duża Księżniczka i rozgląda się za trzecią córeczką, która próbuje karmić Marcysię marchewką.

-Nie teraz, Konstancjo! Zła kolejność!– woła. – Marchewka to nagroda dla kucyka za udaną lekcję!

Pani Marta i ja spoglądamy na siebie porozumiewawczo. Już dawno pogodziliśmy się w Szumińskich Łąkach z tym, że do niektórych naszych gości nie dociera to, co staramy im się wyjaśnić. Na przykład jakoś zupełnie nie mogą sobie wyobrazić, że dawno, dawno temu w ogóle nie używano siodła i strzemion. Całe armie starożytnych Greków i Rzymian właśnie w ten sposób jeździły konno i jeszcze walczyły z wrogiem, jedną ręką trzymając się końskiej grzywy, a drugiej używając do ciskania dzidą, albo posługiwania się mieczem. To dopiero była sztuka! Czytałam o tym w jednej książce z biblioteczki cioci Gracji. Jestem dla tych dawnych wojowników pełna podziwu, bo jeździć na oklep to jedno, ale jeździć i walczyć jednocześnie?! To dopiero wielka sztuka!

Cóż... Jeśli chodzi o sposób jeżdżenia i różne służące do tego gadzety, każdy wybiera, to, co dla niego jest najlepsze i my w Szumińskich Łąkach bardzo ten wybór szanujemy. Pilnujemy tylko, by nie odbywało się to kosztem koni.

Tata okropnie się kiedyś zdenerwował na jednego pana, który nadużywał końskiego bata.

-Niech pan odłoży bat! – zawołał, widząc, co wyprawia jeździec. – To nie jest samochód wyścigowy tylko żywa istota!

Tamten pan wyobrażał sobie, że zmusi Aprilka do dzikiego galopu, co było podwójnie głupie, bo po pierwsze to akurat nie był dobry moment na galop, a poza tym Aprilek jest wyjątkowo uparty – zupełnie jakby był osłem! A kiedy kogoś nie lubi, robi się natychmiast sto razy bardziej uparty. I dokładnie tak stało się w tamtym przypadku. Tata niemal zdjął wściekłego jeźdźcę na ziemię i purpurowy na twarzy pan już nigdy w życiu nie odwiedził Szumińskich Łąk. Mam nadzieję, że wstydzi się tego do dziś!

Przez chwilę przyglądam się Małym Księżniczkom, a potem idę do stajni.

Przekazuję informację o Rokim tylko Guciovi. I to na ucho. Decyduję, że oficjalne ogłoszenie może jeszcze poczekać do czasu, aż wszyscy znajdą się w swoich boksach. Tak będzie bardziej uroczyście!

Wieczorem wymykamy się we dwójkę, tak jak ostatnio i jedziemy do Pauliny. Już na nas czeka, ale jej mama kręci się w pobliżu. Nie wiem, czy uda nam się porozmawiać na osobności!

-Może byśmy zjadły jakąś kolację, dziewczynki? – pyta uprzejmie. – I dla pana znajdzie się coś dobrego! – zwraca się do Gucia i delikatnie gładzi go po grzbiecie.

To naprawdę bardzo miły gest. Ktoś, kto traktuje konika jak człowieka, od razu zyskuje moją sympatię. Nawet jeśli ubrany jest w obszerną szatę koloru fioletowego oraz pomarańczowy turban z podartego materiału. Dlatego zamiast się wykręcić od tej propozycji, nie stawiam oporu.

Mój Gucio dostaje kilka owoców w koszyku – prosto z jabłonek babci Nadzi i chrupie je ze smakiem na drewnianej werandzie. My trzy siadamy w kuchni przy starym drewnianym stole, pełnym rozmaitych przedmiotów – książek, gazet, długopisów, kartek, filiżanek i talerzyków. W centralnym miejscu stoi wielka zielona świeca, której płomień drga delikatnie, jakby poruszany niewidzialnym wiatrem.

Może jest tu z nami duch babci Nadzi? – myślę, ale raczej z sympatią niż z niepokojem. Podejrzewam, że poprzednia mieszkanka tego domu byłaby szczęśliwa, widząc, że on znowu tętni życiem. Może dziwnym i dla niej zupełnie niezrozumiałym, ale lepsze to niż opuszczone pokoje i panujące wszędzie zimno.

-Zawsze palę świece – mówi Arietta, widząc jak wpatruję się w drgający płomień i nie mogę od niego oderwać wzroku. – To zapewnia dobrą energię, poza tym wspiera rozmaite intencje... Dobre intencje, rzecz jasna...

-Czyli, że od palenia świec mogą się spełnić nasze plany albo marzenia? – pytam w zadumie, a Arietta się uśmiecha.

-Pod warunkiem, że służą rozwojowi i słusznej sprawie. Krótko mówiąc – nie mogą nikomu szkodzić – wyjaśnia.

Postanawiam więc na wszelki wypadek zapalić świecę zaraz po powrocie do domu. O ile jakąś znajdę. Od ostatniego święta duchów i wampirów, które urządziła Nina i jej koleżanki z klasy, mogą z tym być kłopoty. Poproszę oczywiście, by powiódł się mój plan z kalendarzami i odzyskaniem Rokiego. Może te świece naprawdę działają?

Kiedy tak intensywnie patrzę w chybotliwy płomień, po plecach przebiegają mi ciarki, a wszystko w starej kuchni babci Nadzi nabiera jakiegoś nowego wyglądu. Zupełnie jakby zdezelowane, odrapane sprzęty piękniały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

A może to po prostu magia delikatnego światła, które zachowuje się zupełnie inaczej niż elektryczna żarówka? Wszystko jest dzięki niemu łagodne i piękniejsze. Poza tym widać, że Arietta pomalowała albo przysłoniła to i owo. W oknie wiszą koronkowe firanki, które na pewno nie są nowe, ale za to czyściutkie i ładnie przymarszczone. Stary kredens wyszorowano i w niektórych miejscach namalowano na nim kwiatki. W doniczkach na parapecie zieleni się od ziół – znam je z ogródka mamy, a obok kwitnie czerwona pelargonia. Wszystkie gospodynie w Szuminie mają takie pelargonie w oknach. Arietta musiała ją od

kogoś dostać. Może na spotkaniu KGS-u? W końcu jest teraz jedną z szumińskich gospodyń. Ciekawe, czy wręczyły jej też obrazek ze świętą Zytą? Nie dość, że mamy tu kościół pod jej wezwaniem, to jeszcze akurat ona jest patronką gospodyń domowych! I podobnie jak święty Florian trzyma w dłoni naczynie z wodą, z tą tylko różnicą, że w jej przypadku wiadro zostało zastąpione dzbankiem.

Zawsze mnie zastanawiało, dlaczego nasza niewielka miejscowość tak starannie się zabezpieczyła. Wszyscy tutejsi święci patroni trzymają wodę w pogotowiu... Dziwne...

Może kiedyś przekonam się, czemu to ma służyć, tymczasem rozglądam się dyskretnie za obrazkiem ze świętą Zytą, ale nigdzie go nie dostrzegam. Mój wzrok zatrzymuje się za to na otwartym komputerze.

-Zaczęłam pisać bloga – oznajmia Arietta i przesuwa cały papierowy bałagan z jednego końca stołu na drugi. Na uzyskanym w ten sposób miejscu lądują po chwili talerze oraz miska pełna jakiegoś zielska, które niepokojąco kojarzy mi się z szumińskimi polami, parowami oraz bezkresnymi łąkami. Myślę, że Gucio byłby szczerze zachwycony tym widokiem.

Zerkam na Paulinę, która nic nie mówi, tylko przewraca oczami.

-A co to za blog? – pytam grzecznie.

-Och! Nazywa się „Niezłe szumińskie ziółka” i ma szeroko pojęty charakter edukacyjny. Od zbieractwa przez kulinaria aż po odzyskiwanie własnej życiowej energii – wyjaśnia Arietta i pakuje mi na talerz stos zielska wielki jak szalas.

Teraz będę miała szansę dowiedzieć się, co czuje koń na pastwisku – pocieszam się w myślach i sięgam po widelec. Czy mi się wydaje, że widzę na talerzu kilka kwiatków różowej koniczyzny?!

-Pokrzywa, liście krwawnika, pocziwa zwykła sałata, kwiaty koniczyzny, a do tego aromatyczny sosik! Pyszność! – zachwala Arietta. I pomyśleć, że to wszystko rośnie sobie w całej okolicy w ilościach hurtowych, no poza sałatą, oczywiście...

Przełykam jeden kęs, potem drugi. Rzeczywiście całkiem dobre, choć zupełnie inne od wszystkich znanych mi smaków.

Po zielonym szalasiu, który pochłaniam w całości, przychodzi pora na całkowicie bezglutenową pizzę z... owocami jarzębiny! Muszę o tym powiedzieć mamie, bo u nas w Szumińskich Łąkach często robi się pizzę, ale takiej nigdy jeszcze nie mieliśmy!

Paulina skubie swoją porcję bez entuzjazmu i chyba zupełnie nie słucha tego, co mówi Arietta. Ja naprawdę się staram, ale trochę za nią nie nadążam. Opowiada o planach dotyczących bloga i o tym, że chciałaby otworzyć gospodarstwo agroturystyczne i warsztaty duchowej odnowy...

Rozumiem z tego piąte przez dziesiąte, ale na wszelki wypadek uprzejmie kiwam głową. Wolałabym nie mieć wroga w tej dziwacznej kobiecie, która ostatnio wiele przeszła. Nikt jak do tej pory nie wspomniał słowem na temat taty Pauliny. Pewnie to drażliwy temat. Może jej rodzice są po rozwodzie albo coś w tym stylu?

-Oj, przestań już mamó, bo to nudne – protestuje w końcu moja koleżanka. Robi to w samą porę, bo Arietta zabiera się właśnie do szczegółowego objaśnienia zalet medytowania w naturalnych warunkach. Być może ma na myśli drewniany wychodek babci Nadzi, na dachu którego nawiązywała kontakt z jakąś tam energią? Tego się już na szczęście nie dowiadujemy, bo rozdzwania się komórka.

Paulina mruga porozumiewawczo i wymykamy się do Gucia, na werandę. Cieszy się, że jesteśmy i cichutko rzy na powitanie. Nawet jak rozstajemy się na chwilę, zawsze wita mnie w ten sposób. To znak, że zdążył się już stęsknić!

Gwiazdy wiszą nisko nad sadem i wydaje się, że wystarczyłoby wspiąć się na palce, by sięgnąć po którąś sięgnąć. Nagle jedna odrywa się i leci na łeb na szyję. Nie zdziwiłabym się, gdyby wylądowała gdzieś w pobliżu – pod jabłoniami, albo na miękkim dywaniku z koniczyny.

-Spadająca gwiazda – mówię trącąc łokieć koleżanki. – O, tam! Pomyśl życzenie!

-Mam jedno, ale ono się nigdy nie spełni – mruczy niechętnie Paulina i w zamyśleniu gładzi grzywę Gucia.

-Odzyskać Rokiego? – pytam, choć to przecież oczywiste. Specjalnie mówię o tym głośno, żeby spadająca gwiazdka usłyszała i wzięła sobie sprawę do serca. Im więcej zaangażowanych, tym większa szansa na sukces. Nie zaszkodzi mieć wsparcie także na wieczornym niebie...

Paulina nic nie odpowiada, tylko ciężko wzdycha.

Teraz jest najlepszy moment, żeby jej powiedzieć – decyduję i natychmiast przystępuję do dzieła. Mówię pospiesznie i trochę chaotycznie, bo obawiam się, że w każdej chwili może tu wkroczyć Arietta, która ciągle rozmawia przez telefon.

Moja koleżanka słucha i słucha, a jej oczy stają się coraz bardziej okrągłe i błyszczące. Na werandzie stoi duży, metalowy lampion z ażurowymi wzorkami i plamki światła rzucają fantazyjne cienie na stare, spłowiałe deski. Przypomina to jakąś bajkową scenerię, trochę tak, jakby wszystko nie działo się naprawdę, a było jedynie czarodziejskim snem...

-Uszczypnij mnie! – prosi niespodziewanie Paulina, a kiedy to robię, dostrzegam łzy spływające jej po policzkach. Może za mocno uszczypnęłam? – myślę w panice, a wtedy koleżanka przytula mnie na sekundę, a potem błyskawicznie odskakuje na bezpieczną odległość, tak jakby wstydziała się tego gestu.

-Do tej pory czytałam o tym tylko w książkach – mówi drżącym głosem.

-Ale o czym? – nie bardzo ją rozumiem.

-O prawdziwej przyjaźni między ludźmi. Ja zaprzyjaźniłam się na razie tylko z Rokim. On jeden nigdy mnie nie zawiódł, za to ludzie bardzo często. Na przykład tata. Pewnego dnia odszedł bez słowa i już.

-Tak po prostu? – pytam zdumiona.

-No, wcześniej się okropnie kłócili – on i ona – tu Paulina macha ręką w kierunku kuchni. – W sumie można się było spodziewać, ale myślałam... Myślałam, że chociaż mnie... no wiesz... że mnie trochę kocha... Ze mną przecież nigdy się nie kłócił...

W słowach Pauliny jest tyle rozpaczy i smutku, że naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Na szczęście jest ze mną Gucio, który wszystko rozumie i po prostu pociera kochanym pyskiem ramię koleżanki. Jakby chciał ją pocieszyć i dodać otuchy.

-Klara?

-Tak?

-Jesteś przyjacielem, wiesz?

-Yhym – mruczę w odpowiedzi.

-Przepraszam, że byłam dla ciebie taka wredna. Czasem naprawdę nie wiem, co we mnie wstępuje...

-To nic – mówię. – Ja się nie gniewam i chyba trochę cię rozumiem...

-Klara?

-Słucham.

-Czy Hania też się na mnie nie gniewa?

-Na pewno nie! Ona pierwsza powiedziała, że gdyby tylko miała pieniądze, odkupiłaby Rokiego dla ciebie!

-Żartujesz?!

-Nie! Ani trochę!

-Czy w Szuminie wszyscy są tacy?

-Pewnie! W Szuminie mieszkają najfajniejsi ludzie na świecie! – zapewniam, a Gucio rzy radośnie.

-I kucyki, oczywiście! – dodaję szybko, żeby nie poczuł się urażony.

*